

Na pożegnanie z „Narodowym”

PAWEŁ CHYNOWSKI

Z początkiem tego roku Adam Hanuszkiewicz opuścił Teatr Narodowy i jego drugą scenę — Teatr Mały. Uczynił to w ślad za decyzją ministra kultury, który postanowił oddać scenę narodową w ręce Jerzego Krasowskiego i roztoczyć oddad ministerialną opiekę nad sceną po Bogusławskim. Na czym ta opieka ma polegać — tego jeszcze nie wiemy. Można się jednak domyślać, że ministrowi chodzi o ukierunkowanie profilu artystycznego Teatru Narodowego po nowemu. Jak? Oto jest pytanie, na które będziemy oczekiwać odpowiedzi z obu scen w najbliższych sezonach. Dziś można się tylko domyślać, że nie będzie to już teatr „autorski” jednego inscenizatora...

Takim był on bowiem przez ostatnich lat kilkanaście, niezależnie zupełnie od tego, że od czasu do czasu pracowali w nim również inni twórcy średniego i młodego pokolenia. Był teatrem Hanuszkiewicza, który wycisnął na obu scenach bardzo osobiste, oryginalne piętno. Być może, nie powinien był tego robić, być może scena ta winna była stać się wiotką różnymi wybitnych dokonań reżyserów polskiego teatru. Nie była nią. Ale trudno winić za to Hanuszkiewicza.

Był często krytykowany ostro, ale też — przyznajmy — miał swoich gorących zwolenników: jak żaden inny warszawski reżyser — zjednał so-

bie szeroka sympatię wśród młodzieży. Robił własny teatr narodowy, taki jakim go on pojmował, jakim on chciał go widzieć. Nie chciał prowadzić teatru-muzeum, ani teatru-antologii. Interesował go teatr żywy, często zaangażowany w polskie sprawy dnia dzisiejszego. Po swojemu odczytywał literaturę dramatyczną, sięgał do dramaturgii zapomnianej, poszerzał literackie pole działania teatru o narodową poezję, prozę i publicystykę. Preferował zawsze polską literaturę romantyczną lub z romantycznego wywodzącą się nurtu. Słowo, współcześnie podawane ze sceny, „mówione” — jak chciał — a nie deklamowane, stało się z czasem głównym środkiem ekspresji w jego teatrze. Jako inscenizator, bardzo odważnie poczynał sobie z klasyką literacką; czasem bolesnie. Kochał collage, sięgał do niego aż nadto często. Był niewyczerpany w pomysłach, czasem brakowało mu woli i umiejętności selekcji. Był często zaskakujący, czasem zuchwały, a nawet wręcz arogancki w stosunku do tekstu. Mocno zaznaczał swoją obecność jako adaptator, inscenizator lub autor spektaklu. Był w teatrze sobą, i jego teatrem był Teatr Narodowy.

Zanim ustąpił fotela swemu następcy, zdążył jednak jeszcze wprowadzić na scenę ostatnie prace inscenizacyjne. W Teatrze Narodowym pojawił się kolejny collage Hanuszkie-

wicza, z jego układem i doborem tekstów, z dużym — co lubił zawsze — udziałem muzyki; spektakl bardzo uczuciowy: „Śpiewnik domowy” wg zbiorów pieśni Stanisława Moniuszki. Przedstawienie jest nierówne, trochę niespójne, ale pomysłowe, zarówno w swym założeniu, jak i w realizacji. Obfituje w piękne i wzruszające sekwencje. Szkoda, że — z konieczności — skonstruowane zostało ono w takim pośpiechu. Propozycja jest bowiem wartościowa i świetnie przylega do obchodów 150-lecia kompleksu architektonicznego Teatru Wielkiego i Narodowego.

Bogata zawartość „śpiewników domowych” Moniuszki, układanych przez kompozytora do tekstów poetów polskich i światowych, pozwoliła Hanuszkiewiczowi wyczarować na scenie dwa kontrastujące ze sobą, nastrojowe obrazy sceniczne. Część pierwszą przedstawienia wypełniła blask, ciepło i spokój bez troski rodzinnego krajobrazu; jest tu miejsce na nuty zadumy i patriotyzmu, ale też na chwile dowcipu. Z części drugiej pozostaje w pamięci przejmujący żalobny obraz rozbitej po upadku Powstania Styczniowego rodziny polskiej, polski „portret rodzinny we wnętrzu”. Ten obraz jest wyjątkowym osiągnięciem inscenizatora, budującego nastroje i znaczenia z tekstów lub wokół nich. W tym przypadku nie ma jednak mowy o rozejściu się twórcy przedstawienia z materia literacką. Chociaż, kto by pomyślał, że pieśni te i okruchy listów z

Cytadeli znajdują kiedyś tak ekspresyjny wyraz sceniczny.

Zgoła w innym nastroju pozbegnał się Adam Hanuszkiewicz ze sceną Teatru Małego. Tu obejrzelśmy na zakończenie jego kadencji uroczą sielankę, wysnutą z barokowego tekstu Jana Andrzeja Morsztyna — „Komedie pasterską” wg „Amintasa” Torquata Tassa. Żywe barany na scenie, pachnące siano, kąpiele w beczce pełnej wody — wszystko to znakomicie ożywia i uatrakcyjnia sielankowy banał, uczytelnia wymyślne konstrukcje stylistyczne Morsztyna. Zaś sztuka aktorska, jak nieczęsto ostatnio u Hanuszkiewicza, dochodzi tu do pełniejszego głosu.

Nieoceniony jest talent Zofii Kucówny (Dafnida), zarażającej tu widza bezgraniczną pogodą życia, wspaniale zwycięskiej w walce z barokowym językiem tekstu. Emilian Kamiński w roli Tyrsisa jest tu (podobnie jak w „Śpiewniku”) spóźnionym nieco, ale odkryciem Hanuszkiewicza. Jan Frycz (Amintas) to niezwykle zupełnie uosobienie chłopięcy mąż miłosny. A dziewczyny? — Anna Gornostaj (Sylwia), Halina Rowicka (Nerina), Marzena Trybała i Grażyna Szapokowska — po prostu urocze! Kto widział ongiś hanuszkiewiczowski „Miesiąc na wsi”, ten pójdzie teraz z pewnością na to przedstawienie, i nie pożałuje. Byle tylko można je było oglądać w „Małym” tak długo, jak to będzie przez widzów pożądane.

Pożegnaliśmy Teatr Narodowy Adama Hanuszkiewicza. Miejsmy jednak nadzieję, że nie — samego Hanuszkiewicza. Znajdzie on — jak sądzę — i u nas możliwość pracy twórczej. Znając jego temperament twórczy, jestem tego pewien!